

# Kram z „Kramem”

 Rzecz. 11196  
 Nr 27

„Kram z piosenkami” Leona Schillera okuje się w kategorii tych widowisk, o których źle pisać nie wypada, a dobrze niepodobna. „Kram...” powstał w specyficznych okolicznościach — miał swoją premierę na obczyźnie, 1 grudnia 1945 r. w niemieckim Lingen, a później wielokrotnie grany był w innych ośrodkach polskich w strefie okupacji wojsk sprzymierzonych. Dla wyzwolonych jeńców wojennych, więźniów obozów koncentracyjnych i obozów pracy przymusowej, bojowników podziemnej Polski i żołnierzy był to bez wątpienia wzruszający kontakt z polskim słowem i rodzimą — po części — muzyką. „Kram z piosenkami” wystawiony dzisiaj to już, niestety, wyłącznie cepeliada, obrażająca dobry gust współczesnego widza. Może z wyjątkiem drobnej grupki odbiorców szukających okazji, by się „narodowo bałamucić”.

Między deklaracjami artystycznymi „Kramu...” a ich spełnieniem na scenie jest przepaść. Janusz Zakrzeński, odczytujący na proscenium „Słowo od Leona Schillera”, wspomina o ocalonych od zapomnienia perłach gatunku: od staropolskich śpiewek biesiadnych poczynając, przez piosenki dworskie, obrazy rodzajowe z życia dworku wiejskiego, młodopolskie smutki Cyganerii Krakowskiej, na mieszczańskich obyczajach i przedmiejskich zabawach kończąc. Perły, jak wiadomo, przynoszą pecha, a w wykonaniu zespołu Teatru Polskiego w Warszawie robią, dodatkowo, wrażenie sztucznych. I to pomimo faktu, że jak na bieżącą nędzę artystyczną naszych scen, zyskały rewelacyjną oprawę kostiumową, a aktorzy, zda się, ledwo nadążają z przebierankami.

Połączenie w spójną dramatycznie całość trzydziestu różnorodnych piosenek jest niezwykle trudne. Trzeba więc na wstępie założyć maksimum dobrej woli widzów, by zechcieli wysiedzieć bite trzy go-

dziny i wysłuchiwać dalekich od muzycznej poprawności aktorskich interpretacji melodii, od których dość mocno zalatuje myszka. Ale nawet w najbardziej perfekcyjnym wykonaniu „Kram z piosenkami” potwierdziłby jedynie tezę, że Polakom, ustawicznie zajęтым walkami o utrzymanie suwerenności państwowej, stanowczo brakowało czasu na pielęgnowanie tak ulotnych sfer ducha, jak muzyka. Ba, zabrakło go nawet na niewinne zabawy.

Aż przykro patrzeć na te rodzime uciechy, znajdujące kulminację w osuszaniu pucharów przez zażywną brać kontuszoną czy też spijaniu przez bohemę kieliszków absyntu, (który zresztą często przybierał postać... miętóweczki — jak zdradza sam Schiller, jeden z najmłodszych uczestników imprez „Zielonego Balonika” w krakowskiej „Jamie Michalika”), nie mówiąc już o „ubawie po pachy”, gdy na białąską zabawę pojawi się blaznujący pijak (Bogdan Potocki). Ot, takie te nasze rozrywki i nawet trudno mieć pretensje do dwojących się i trójających wykonawców, że podobnym dyrdymałom nie umieli nadać interesującego kształtu artystycznego. Ucieszne piosneczki okazały się w ogóle nie śmieszne, a dwa, trzy popisy aktorskie (Wiesław Gołas w „Odzie do dziewczeczek”, Jacek Kawalec w „Emulacji”, Marek Barbasiewicz w „Pelerynie”) to cokolwiek za mało, jak na tak gigantyczne sceniczne przedsięwzięcie. Nie umieliśmy i nie umiemy się bawić, czego „Kram z piosenkami” w Teatrze Polskim najlepszym przykładem. Doprawdy, smutnie. **JANUSZ R. KOWALCZYK**

Leon Schiller „Kram z piosenkami”. Reżyseria: Barbara Fijewska, scenografia: Kazimierz Wiśniak, choreografia: Barbara Fijewska i Witold Zapała, opracowanie muzyczne: Piotr Hertel, kierownictwo muzyczne: Wit Zawirski. Teatr Polski, Warszawa. Premiera 27 stycznia br.



Między deklaracjami artystycznymi „Kramu z piosenkami” a ich spełnieniem na scenie jest przepaść